

Renata Zmigrodzka

Swit, dzień i noc stolicy

24 godziny ulicy wielkowiejskiej

Ulica wielkiego miasta, pulsująca wiecznym przyspieszonym tętnem jego mieszkańców, ma swoje własne, niewidzialne dla oka tysięcy przechodniów życie. Swoje własne życie, ot jak każdy człowiek, monotonne, co dzień jednakowe, a jednak z każdą godziną inne. I każda ulica, podobnie jak każdy człowiek, żyje inaczej, ba każdy najmniejszy odcinek ulicy ma swoje własne życie, odrębne, nie nie podobne do życia tejże samej ulicy tam, za rogiem.... O każdej porze dnia i nocy, latem i zimą, pulsują życiem śródmiejskie ulice wielkiego miasta. O świcie, gdy pierwsze tramwaje wyruszają z remiz, w szarej mgie budzącej się późno dnia smutnej jesieni, w mglistych oparach zimowego świtu, gdy płoną jeszcze na ulicach latarnie, ulica śródmiejska ożywia się.

Gdy świt...

Nie budzi się po nocy, — wielka ulica stolicy nigdy bowiem nie zasypia. Jadą pierwsze, prawie puste wozy tramwajowe, jadą rzadkie taksówki i dorożki przeładowane przeważnie kuframi i walizkami — śpieszą na dworce podróżni, czy też powracają do domów, o świcie, jadą, jadą ulicą „ogumioną” wozy, wiozą mleko i pieczywo. Otulone grubymi chustami młode dziewczyny niosą wielkie blaszane banki, zacierając ręce biegną do sklepików spożywczych i mleczarni. Niosą świeżutkie mleko. Gluchym echem roznosi się wokół zgryz podnoszonych żaluzji, trzask zdejmowanych z wystaw desek. Otwierają się kioski, gdzie na tle blasku latarni i szarego świtu majaczy drobna chłopięca postać.

— A. B. C. No... winy... Cogo...
Kum... ric... e.

Prędejj! Prędejj!

Mały gazeciarz, wymachując zadrukowanym arkuszem, pędzi naprzód, zwiastując pierwsze nowiny. Tu i ówdzie zapłonę światło w oknie. Ktoś na pierwszym piętrze wychylił się i woła do pędzącej do sklepu naprzeciw Marysi, by nie zapomniała zapalek. Już na ulicy pełno tych Marys, Kaś i Helenek. Zaspane, w

jakichś tam pantoflach na bosych nogach, z odkrytymi głowami, biegną truchcikiem, ściskając w dłoniach nikłowe garnuszeczki i „drobne” na chleb i bułki. Aby prędzej, aby prędzej, bo tam już pani i panienka wstali.

— Moja pani, długo będę czekała? Toć panienka do szkoły musi iść, a i pan do biura ma też daleko — dobiega wzburzony głos z za drzwi sklepu. Oto już po siódmej. Co raz to ktoś wybiegnie z bramy i oglądając się na prawo i na lewo, pędzi do przystanku. Przy każdym czerwonym słupku z umieszczoną o górze tabliczką z napisem „Przystanek”, stoją już spore grupki. Z każdej minuty coraz bardziej ruchliwa staje się ulica. Już suną gładką jezdnią długie limuzyny, jadą wózki, wozy, rowery i masa, masa tramwajów, dosłownie oblepionych pasażerami. Idą, biegną, poważni panowie z teczkami pod pachą, skulone panie nauczycielki z paczkami zeszytów i „drugim śniadaniem”, uwieszonym na różowym sznurku. Młode, zaspane jeszcze po wczorajszym brydżu, czy danengu „urocze maszynistki i sekretareczki” i niezliczona ilość mniejszych i większych grantowych mundurków. Biegną, powtarzając na głos zadana lekcję.

I oto znowu stolica bije zwolnionym tętnem. Ruch jest mniejszy, czasem tylko ktoś szybkim krokiem przebiegnie jezdnią, popychając spokojnie idące tłumy. Wskoczy do uciekającego tramwaju.

Tempo dnia słabnie

W południe młode mamusie popychają naprzód wózek i prowadząc za rękę swe małutkie pociechy idą na spacer, gdy pogoda jest możliwa. Powoli i leniwie przechadzają się „piękne panie, dążąc do krawcowych, fryzjerów lub na spotkanie. Złatwiają niezliczone sprawunki: tu kupią, tam tylko obejrzą. Zatrzymują się przed wystawami wielkich magazynów, wstępują do kawiarni na umówione „pół czarnej” z przyjaciółką czy ostatnią sympatią. Stosunkowo mało spotyka się wtedy mężczyzn, a ci to ludzie,

w których praca nie wymaga siedzenia przy biurku, studenci czy wreszcie ludzie, którzy nie pracują. Z woli Bożej, a często ze swojej. Pora obiadowa: znów roją się ulice — roześmiane, wesołe i swobodnie wracają ze szkół granatowe mundurki. Z biur i urzędów wysypują się na ulicę masy. Idą do domów na obiad. Ten i ów zatrzyma się i kupi w budce papierosy czy gazetę, inny wstąpi na chwilę do sklepu.

Tradycyjne „pół czarnej”

Zapada zmrok, płoną lampy na ulicach, migocą neonowe reklamy na dachach i ścianach domów. Kręcą się wokół drzwi wielkich kawiarni, wpuszczając amatorów „pół czarnej” i kawiarnianej atmosfery. W bramach, gdzie wielkie afisze głoszą, że „Jedyny, najpiękniejszy film sezonu”... tłoczno i gwarno. Zachrypnięty megafon wyrzuca jakieś tanga, jakieś niezrozumiałe słowa. Uliczne zegary wskazują szóstą godzinę. Wzrasta tłok przy kinowych wejściach, już teraz regularnie co dwie godziny, aż do północy zbija masą będą wychodzić stąd kina, amatorzy. Potem na ulicy rozejdą się, jedni pójdą na lewo, inni na prawo, a jeszcze inni oglądając się, czy nie przylapie ich na nieprzeplanym przechodzeniu policjant, przechodzą na drugą stronę. Wreszcie, gdy już spadną żaluzje na wystawy sklepów, gdy już ostatnie deski przysłonią drzwi wejściowe, długim rzędem zjeżdżają samochody i dorożki, do wejść teatralnych.

Na zegarach bije ósma. Jeszcze śpieszą zapóźnieni teatromani jeszcze tłoczą się przy wejściach do kin, aby „zdażyć na ósmą”. Z pobliskich kawiarni dochodzą dźwięki muzyki, zagluszane tylko warczeniem mknącej limuzyny, przeciągłym rykiem klaksonów i dzwonkami tramwajów. Wokół jasno oświetlonych wystaw tłoczą się spacerowicze, ci dla których ulica wielkiego miasta jest ogromną rozrywką, ci którzy po skromnej kolacji wychodzą na miasto „by przejść się”. Przechodzą obok wytwornych restauracji, koło pustych skwerów, koło pozamykanych kościołów. Czasem ktoś im drogę zastąpi:

Nocny wiaśn

— Obwarzanki! Świeże wieczorowe obwarzanki po pięć gro...
Długo, długo jeszcze będzie stała pod ścianą młoda dziewczyna, zachęcając przechodniów do kupna. Sama i tylko czujna na przechodzącego policjanta. Wiosną stoi obok niej druga u jej stóp kosh pełen kwiatów, w rękach ca,

le naręcza bżów, tulipanów a jesienią smutnych astrów. Po małych cichnie gwar, coraz mniej przechodniów coraz mniej pojazdów i tylko znowu koło jedenastej jadą przeładowane tramwaje i autobusy, mkną taksówki i limuzyny. Powracający z teatrów zatrzymują się przed pozamykanymi bramami, czy też wchłania ich znowu jakaś wielka restauracja. Po północy rzadko gdzie płoną latarnie.

PALTA
gotowe i na zamówienie
St. Czarniński
marszałkowska 145

nie, rzucając blade światło na tych, których przed godziną można było spotkać w dancingu czy restauracji, na balu, czy jakimś „tańcującym wieczorku” i na tych, którzy powracają tak o pierwszej w nocy, jak i o wczesnym świcie z pracy i dyżurów. Nie mówiąc już o tych, których można spotkać przed drzwiami jakiegoś baru w stanie pozostawiającym wiele do życzenia i nie mówiąc już o tych, którzy na widok patrolu policyjnego chowają się dyskretnie. Oni to są przyczyną, że czasem wśród głębokiej ciszy, kiedy każdy krok rozlega się głośnie echem, rozlegnie się nagle przeraźliwy krzyk, rubaszny śmiech, a często i huk wystrzału. Potem alarmująco zabrzmi gwizdek posterunkowego, nieodłącznego go towarzysza wielkowiejskiej ulicy.

Podróżuj samolotem

OPTYK
St. RUDZKI
WARSZAWA
Nowy-Swiat 40, tel. 5.00-64
w podwórzu Kina „PAN”

Wykonują szkła szkieł w/g przepisu PP. Lekarzy, firm: ZEISS „PUNKTAL”, „URO-PUNKTAL”, ROUDENSTOCK-PERFA, HYGAL-PERFA, ro-bota solidna i terminowa.

Galera z przed 2000 lat będzie wydobyta z morza

Instytut archeologiczny w Tunisie przystąpił do wydobywania z dna morza, z głębokości 30 m. galery rzymskiej, która zatonała przed przeszło 2000 lat, załadowanej olbrzymimi skarbami.

Było to w r. 86 przed Chr. Helada zrzuciła na chwilę jarzmo Rzymu, wspierana przez małoazjatyckiego króla Mityrydata, ale wódz rzymski Sulla rozgromił ogromne wojska Azjatów pod murami Aten i poddał to miasto, wraz z Delfami, straszemu pogromowi. Do Rzymu popłynęła z Pireusu cała flota, naładowana posągami, brązami, kosztownościami, złotem w sztabach; na południe od Sycylii natrafiła na straszną burzę, która jeden ze statków odrzuciła aż w pobliże

Kartaginy, gdzie zatonała. Jeszcze Pliniusz w przeszło 150 lat później miał dość szczegółowe dane o ładunku zatopionej galery.

Wartość skarbów, jakie mają być wydobyte, obliczają na 400 tysięcy złotych.

Nadmierne owłosienie
Wszelkiego rodzaju brodawki
usuwa
INSTYTUT KOSMET.-LEK.
IZIS
w Warszawie — ul. Żaneta 4

Pod światło

Nadzieja

Jednym z najsilniejszych i najurwalszych nawyków psychiki ludzkiej jest niewątpliwie nadzieja. Dlaczego nawyków? Dlatego, że najczęściej jest skłonnością niezłomną, niezasadzoną — nieczym niezwalczoną. Twardy los raz po

spodziewaniu się czegoś, ma swoje dobre strony. Czyż bowiem chciałoby się nam cokolwiek przedsięwziąć, gdybyśmy się — ni czego nie spodziewali?

Tak, nadzieja, to nieuleczalny nałóg ludzkiej duszy, ale nadzieja

JEDYNY W KRAJU STÓŁ ELEKTROTECHNIKI SAMOCHODOWEJ
TUSZYŃSKI KURSY SAMOCHODOWE
Nowy-Swiat 44

raz tłucze człowieka — pardon! — w łeb, a człowiek ciągle jeszcze czegoś się od losu spodziewa. Czegoś właśnie dobrego, najlepszego.

Rzadko kiedy, a często — wca-

to także najpotężniejszy motor ludzkiej poczynności.

Ulegając temu nawykowi spodziewamy się wszystkiego — nawet najbardziej sceptyczni pesymiści — w głębi duszy jakichś zmian

Za zł. 20 miesięcznie polecam:

Gramofony - płyty - instr. muz.

Wszyscy przekonali się, że najkorzystniej można nabyć w chrześcijańskiej nowoutwartej placówce ostatnie modele ap. radiowych
„TELEFUNKEN”

H. RUSZKOWSKI, Marszałkowska 117

le, nie zastanawia się taki pan na tym, czy w ogóle na cokolwiek zasługuje, czy w ogóle cokolwiek jest wart. Nie. On się spodziewa. On czeka. On liczy na coś. On — ma nadzieję.

Skądinąd, to trzeba przyznać, taki tupet ludzki w uporczywym

na lepsze, wiążąc swe nadzieje z ewnymi datami.

Dwunasta godzina bijąca o północy na przełomie ostatniego dnia grudnia i pierwszego dnia stycznia staje się symbolem zmiany. Posiada moc tajemniczą początku rzeczy nowych. Choćby nawet świt, który poprzedza był tak samo szary, jak świt, który ją poprzedził.

Uczucia, które przeżywamy w dniu noworocznym niewiele zapewne różniły się od tych, któreśmy przeżywali rok temu. I te są (tak jak tamte były) przepełnione nadzieją.

Spodziewamy się. Czekamy. Liczymy na coś. Mamy nadzieję.

Będzie lepiej!

(st. g.)

W drodze do Cetynii

(Korespondencja własna ABC)

Cetynia, w grudniu.

Nie ma jeszcze godziny 7-ej r., a mimo to słoneczko przypieka już porządnie. Jesteśmy bowiem w jednym najbardziej na południe wysuniętym punkcie wybrzeża jugosłowiańskiego, w niewielkim porcie Dubrownika, skąd za chwilę parowiec „Jugosławija” zawiezie nas do Boki Kotor-skiej. Z położonego zaś na samym jej końcu Kotoru powiezie nas dalej autobus po przez Cetynię na 1753 mtr. Lovcena do Cetyni, dawnej stolicy niebosiężnej Czarnogóry. Droga to odległa, blisko 100 km. wodą i 40 km. po stromych zboczach górskich.

Po wypłynięciu z portu mijamy rozłożoną naprzeciw Dubrownika wyspę Lokrum i dalej ukryte wśród zieleni i skał nowoczesne kąpielisko Kupari, po czym po dwu godzinach urozmaiconej jazdy wzdłuż malowniczego wybrzeża otwiera się przed nami nagle z boku wolna przestrzeń w wysokim i skalistym brzegu: jest to wjazd do rozległego fiordu, zagubionego daleko na południu wśród wysokich gór, do sławnej zatoki kotorskiej.

Wysoko ponad nami krąży kilka hydroplanów jugosłowiańskich, mających w głębi Boki swoje bazy i warsztaty. Jeden z nich kieruje się ponad pusty obszar morza; ciągnąc za sobą długiej linie biały balonik. Od-

bywają się właśnie ostre strzelania jugosłowiańskich baterii przeciwlotniczych, ukrytych w załamaniach skalnych i strzegących ważnego punktu strategicznego, jakim jest Boka Kotor-ska. Donośny huk rozrywający powietrze, sygnalizuje sam wystrzał, a w chwilę później następuje na wysokości tysięcy lub więcej metrów wybuch czterech pękających w groźne odłamki strzaśnoli. Widoczne wysoko obłoczki białego dymu wskazują miejsce, w którym nastąpił w powietrzu wybuch, przekonane się więc można jak celne są te pociski, przekaje tuż przy ciągłym przebiegu hydroplanu celu.

Tymczasem wjeżdżamy do pierwszej z kilku wielkich zatok tworzących Bokę Kotor-ską, do zatoki Topla (ciepła), zawiąsając do niewielkiego portu Hercegnowi. Piękna ta miejscowość, tonąca w gajach cyprysów, palm i pomarańczy, świadczy o dawnym swym znaczeniu ruinami trzech średniowiecznych twierdz, wznoszących się ponad skaliste zbocze. Za Hercegnowi w dalszej wydłużonej na 10 km. zatoce Tivat mieszczą się dwa porty wojenne: Zelenika i Tivat, w koło których na rozległych wodnych płaszczyznach kręca się liczne motorówki, manewrują czarne okręty wojenne, wzbijają co chwila w powietrze hydroplan. Zrozumiałe się teraz staje pomieszczenie na pokładzie „Jugosla-

wiji” napisy: „zabrania się fotografować”.

W tej właśnie chwili przepływa obok nas powoli duży parowiec pasażerski z flagą włoską, wywołując swym pokazaniem się na twarzy jednego z marynarzy wyraz zagniewania i pewnej nienawistnej zaciętości. Po chwili słychać wyjaśnienie: „Ten parowiec udaje jedynie, że wozu pasażerów, w rzeczywistości jednak fotografuje wciąż wszystko i fotografuje. Ale im to niewiele pomoże, bo jak przyjdzie do czego, to się nie damy”. Czuję się tutaj wszędzie, — nie tylko z tych zagniewanych słów, — że wzajemne stosunki między sąsiadującymi narodami niezbyt są przyjazne i nie na długo uregulowane, nie trudno domyślić się więc przeciw jakiemu lotnictwu wprawiają się tak skrupulatnie nadbrzeżne baterie.

W dalszej drodze przez wąską, zamykaną dawniej na łańcuchy cięśninę Verige przedostajemy się do ostatniej z zatok, otoczonej ze wszystkich stron niemal prostowadłe wznoszącymi się ze wszystkich stron w górę szczytami. U wejścia do niej leży przeszło dwa wyspy św. Jerzego i Gospe, z których jedna usypała jest sztucznie przez okolicznych rybaków pod wybudowany na miejscu dawnej głębiny kościół Matki Boskiej. Z jednej strony tej głęboko w stali ład wznoszącej się zatoki leży u stóp woskiej na przeszło 1300 mtr. góry historyczne miasto Risan, dawna stolica potężnej królowej illiryskiej, Teuty, prowadzącej

przed dwadzieścia przeszło wiekami zwycięskie wojny z Rzymem, z drugiej zaś strony, w samym kącie wydłużonej zatoki rozłożone jest u stóp Czarnogórskiego masywu miasteczko Kotor.

Również niemal jak Risan, starożytny Kotor niezwykle malowniczo jest położony na skalistym podłożu Lovcena. Patronuje mu na wysokości na 260 mtr. skale groźna twierdza św. Iwana, strzegąca dawnej niezależności miasta przed najazdami Turków. A jednak twierdza ta i połączenie jej z miastem wysokim murem, zbudowanym po mistrzowsku na stromym zboczu nie chroniły dostatecznie Kotoru, zmuszonego w końcu do przyjęcia na kilka wieków zwierzchnictwa potężnej Wenecji. Na dole, w samym środku miasta, wznosi się katedra, zbudowana jeszcze w 309 r. i odnawiana następnie kilkakrotnie po nawiedzających Kotor gwałtownych trzęsieniach ziemi. Niedawno katedrę położoną jest prawosławna cerkiew, granicząca z prawosławną. A w koło obu świątyń wznoszą się liczne bogato zdobione pałacyki, dzisiaj przeważnie zamieszane, czy nawet zupełnie porzucone: Kotor jak i inne miasteczka położone w głębi Boki Kotor-skiej, świetne dawniej i bogate żeglarswem i korsarstwem, dziś tracą coraz więcej ze swego znaczenia i pułoszeją wyraźnie.

W Kotorze przesiadamy się na autobus, mający podwieźć nas wysoko w górę na masyw czarnogórski. Ruszamy od razu o-

stro w górę drogą wybudowaną jeszcze przed wojną, wspinając się po niemal prostopadłym zboczu Lovcena 132 ma serpentynami. Niektóre zakręty serpentyny są tak ostre, że autobus musi stawać i cofać się co chwilę, tuż nad powiększającą się z każdym zakrętem przepaścią. Z nadmiaru silnych wrażeń wali coraz mocniej serce, a nerwowe wypieki zabarwiają twarz. Niestrudzony jednak, potężny motor ciągnie coraz wyżej, przebiegając szybko z jednej strony zbocza na drugą. Skąły sterczący niemal prostopadły i zwisający groźnie nad nami, do których dostęp wydawał się niemożliwy po chwili, są oparciami dla kół autobusu. Po kilkudziesięciu minutach jazdy wspieliśmy się tak wysoko, że widać u stóp nie tylko zatokę risańską, ale i dalsze zatoki Boki Kotor-skiej, a w końcu nawet i morze, odległe o kilkanaście kilometrów i przegryzione pasmami gór. Jesteśmy już niemal na wysokości tysięcy metrów.

W pewnej chwili przewodnik, jadący z nami, pokazuje w górę ręką: na kilkaset metrów ponad nami szybuje ptak jakiś ogromny, rozpostarłszy czarne, z białym obwodem skrzydła. Jest to orzeł górski, gnieżdzący się na niedostępnych szczytach czarnogórskich. O tym, jak niedostępne i trudne do zdobycia są te szczyty, przekonali się najlepiej podczas wielkiej wojny Austriacy, przez szereg miesięcy bezskutecznie szturmujący bohaterstwo broniących się górali czarnogórskich. Z zacieklego bombardowania przez nich przeleży górskich

pozostały i dziś jeszcze ślady w postaci resztek olbrzymich bomb i granatów, pokazywanych z dumą przez przewodnika. Najciekawsze jednak te bomby nie potrafiły nawet i poszerzyć tych skalnych złomów.

Tymczasem strome zbocze urywa się nagle na niewielkiej przełęczy i autobus wjeżdża w jeden z wąwozów górskich, prowadzący do odległej o kilkanaście kilometrów Cetyni. Wspinamy się jeszcze dalej w górę, jednak nie tak stromo, jak dotychczas, po upływie kwadransa zatrzymujemy się na wysokości 1400 mtr. Jesteśmy na najwyższym punkcie drogi, opuszczającej się przed nami w dół ku położonej w dolinie Cetyni. W koło roztacza się niezapomniany widok. Powietrze jest doskonale czyste, widać więc po drodze szczyty odległe o 30 km. Jezioro skutańskie, błyskające wśród nich niebieskawym odcieniem swych wód. A w koło, jak tylko daleko okiem sięgnąć, szczyt przy szczycie, postrzępiony fantazyjnie nagimi, groźnymi skalami. Nie widać w tej ogromnej górskiej pustyni żadnych śladów życia, jedynie w rzadkich załamaniach skalnych odbijają od jednostajnej bieli wapiennych złomów wąskie pasy ubogiej zieleni. A jednak poniżej ukryte są liczne ludzkie osiedla, porozrzucane we wszystkich dolinach i wąwozach górskich. Prowadzą w nich prymitywne najczęściej żywot bitni górali czarnogórscy, tworzący przed wojną niezależne królestwo Monte Negro, dziś obywatelstwo zjednoczonej Jugosławii.

(p.)